



**WACŁAW OSZAJCA SJ**

**ŚW. ANDRZEJ BOBOLA PROWADZI DO JEDNOŚCI**

Rozważania

- I. ANDRZEJ BOBOLA – EWANGELICZNE SŁOWO DLA NAS
- II. ZWYCZAJNY CZŁOWIECZY LOS
- III. POWRÓT
- IV. WYBRAŁ CHWALEBNĄ ŚMIERĆ
- V. POLITYKA – BŁOGOSŁAWIEŃSTWO CZY POKUSA?
- VI. KREW WOŁAJĄCA O JEDNOŚĆ KOŚCIOŁA
- VII. NIE LĘKAJCIE SIĘ !
- VIII. NON POSSUMUS!
- IX. ANDRZEJ BOBOLA EWANGELICZNE SŁOWO DLA NAS

## I. ANDRZEJ BOBOLA – EWANGELICZNE SŁOWO DLA NAS

Ojczy, „...w męczeństwie świętego Andrzeja Boboli ukazałeś cuda swojej łaski, on bowiem naśladowując Chrystusa przelał (swoją) krew ku Twojej chwale. Ty sprawiasz, że moc w słabości się doskonali i umacniasz słabych ludzi do złożenia świadectwa wierze (...) (prefacja o świętych męczennikach).

Słowa tej prefacji w odniesieniu do świętego Andrzeja Boboli lepiej niż inne oddają prawdę jego życia. Andrzej Bobola znał swoją słabość. Nie była ona również tajemnicą dla jego przełożonych. Nie słabość jednak w nim zwyciężała i zwyciężyła, ale moc Chrystusa. On – słaby – okazał się mocniejszy od tego wszystkiego, co słabość i związany z nią grzech rodzą – od nienawiści.

Wiek XVII w ojczyźnie Andrzeja był wiekiem krwi, ognia, szubienic i miecza, jednocześnie zaś był czasem poświęcenia, ofiary aż do końca, w której objawiała się wielkość człowieka i zarazem wielkość Boga. Granice pomiędzy grzechem a sprawiedliwością nie przebiegały wcale pomiędzy ludźmi czy też grupami ludzi. Polacy, Kozacy, Żydzi, Rusini, Rosjanie, bogaci, biedni, rzymskokatolicy, unicy, prawosławni i pewnie na wpół poganie. To nie pomiędzy nimi biegła granica grzechu i sprawiedliwości, nienawiści i miłości, ale przez nich, przez ich serca i sumienia.. Jedni i drudzy stawiali szubienice, podkładali ogień, przelewali niewinną krew.

Jednak u trumny Andrzeja Boboli na modlitwę gromadzili się wszyscy: rzymskokatolicy, unicy i prawosławni. On- kamień niezgody, duszochwat, zdrajca, zatwardziały katolik – przez męczeńską śmierć stał się słowem Boga, ewangelicznym słowem, dobrą nowiną dla znękanych wzajemną nienawiścią. Jego zmasakrowane szczątki stawały się nie powodem dalszych podziałów, lecz miejscem pojednania. Ukazywały prawdę większą niż prawda jego czasu. Ta Andrzejowa prawda nie straciła nic ze swego blasku, dzisiaj trzeba nam do niej wracać. Wracać do niej tym bardziej, im goręcej pragniemy pojednania i zjednoczenia Kościoła. Święty Andrzej Bobola wskazuje bowiem drogę ku jedności. Pracował dla unii, a więc dla zachowania bogactwa Kościoła Wschodu. Jednocześnie pracował dla Kościoła Zachodu. Pragnął pełni, pragnął współbrzmienia obydwu wielkich tradycji, w którym to współbrzmieniu objawiałaby się jedność wiary. Zatem relikwie świętego Andrzeja i dzisiaj winny się dla nas stać tym miejscem, z którego jaśniej widać drogę i możliwości ekumenizmu. Andrzej Bobola nie dzieli, raczej staje się wyrzutem sumienia dla nas i wyzwaniem, aby niczego nie tracąc, nawzajem siebie ubogacąc.

Święty Andrzej Bobola – przez los swoich szczątków – stał się w pewnym momencie również wyzwaniem dla niewierzących, dla przyznających się do materializmu. Jego relikwie bowiem umieszczono jako eksponat, ale dostępny tylko nielicznym, na Higienicznej Wystawie Komisariatu Zdrowia w Moskwie, w roku 1922. Pomijając problemy

medyczne z tym związane, nie sposób jednak nie zauważyć samego faktu jakby przedłużenia Andrzejewego trudu ewangelizacyjnego, misjonarskiego. Tam, gdzie nawet nie marzył, aby mógł głosić Chrystusa, właśnie tam Go głosił, głosił obecnością swego ciała, które przecież też jest słowem.

Znowu więc staje się święty Andrzej Bobola wezwaniem do „otwarcia drzwi Chrystusowi” – drzwi kultury; drzwi ludzkich umysłów. To przecież Bułhakow powiedział, że kultura jest ikoną Bożego Królestwa. Jest coś bardzo wzruszającego w tym, że ze względów estetycznych, przed przewiezieniem relikwii do Polski, we Włoszech, przydano twarzy Andrzeja odcięte podczas męczeństwa wargi i nos. Jest w tej trosce o piękno coś z serdecznego gestu świętej Weroniki.

Można więc rzec, że święty Andrzej wzywa nas do odwagi w myśleniu, do odwagi poszukiwania prawdy i niezamykania się na nią bez względu na to, skąd pochodzi. W czasach, w których panuje moda na światopogląd bez treści, śmierć Andrzeja Boboli tym bardziej staje się wyzwaniem dla chrześcijan do tworzenia takiej kultury, która nie ogranicza ludzkich możliwości, ale ukazuje człowiekowi możliwość spełnienia i to spełnienia pełniejszego od tego. Jakie sobie wyobraża, zwłaszcza człowiek ograniczający rzeczywistość do możliwości zmysłów. Takie bowiem poznanie stawia rozumowi przeszkody, ogranicza jego możliwości.

Na życie świętego Andrzeja odcisnęła również swoje piętno polityka. Mówiąc ściśle, odcisnął swoje piętno grzech polityków. Kresowi królewęża, politycy carskiego dworu, duchowni z własnej czy nie z własnej winy stawiający to co cesarskie ponad tym co Boskie. Z bólem trzeba powiedzieć, że również politycy polskiego króla pomnażali ten grzech. O ile z grubsza rzecz biorąc można wymienić liczbę zamordowanych np. dominikanów – 95, bernardynów – 26, jezuitów do śmierci Andrzeja – 49, zaś po tej dacie jeszcze kilkunastu innych, o tyle nikt nie policzy spalonych wsi i wymordowanych ich mieszkańców. Podobny los spotykał miasta i miasteczka. To prawda, że Kozacy, zaś w XVIII wieku hajdamacy, mordowali tysiącami. Ale prawdą jest również, że odpłacano im tym samym. Wystarczy wspomnieć regimentarza Józefa Stępowskiego i krwawy terror, jaki zaprowadził na Ukrainie. Nie sposób zatem dzisiaj nie dostrzec, do czego prowadzi polityka nie zważająca na prawo moralne, stawiająca swoją rację ponad racja Ewangelii. Pamiętając o tym byłoby jednak czymś wysoce niechrześcijańskim, gdybyśmy teraz chcieli robić rachunek krzywd i szukać bardziej winnych. Śmierć Andrzeja Boboli każe nam iść inną drogą. Jego śmierć jest wielkim głosem przestrogi przed poddaniem polityki jakiemuś innemu prawu poza prawem Bożym, a jeśli ktoś woli poza naturalnym prawem człowieka – też ostatecznie nadanym przez Boga – prawem do życia na ziemi, w której się urodził. Kiedy i dzisiaj wciąż jesteśmy świadkami ludzkiej krzywdy powodowanej przez polityków, wołanie krwi świętego Andrzeja staje się tym bardziej donośne.

Święty Andrzej Bobola osaczony przez wielorakie zło jednak temu złu nie uległ. Co więcej, siedł on tam, gdzie było najbardziej niebezpiecznie. Skąd czerpał moc do takiego życia? Święty Ignacy z Loyoli tak radzi swoim synom: „Chce i wybieram raczej ubóstwo z Chrystusem ubogim niż bogactwo; zniewagi z Chrystusem pełnym zniewag, niż zaszczyty; i bardziej pragnę uchodzić za obłąkanego i głupca z powodu Chrystusa, boć Jego pierwszego za takiego miano, niż być uważanym za mądrego i roztropnego na tym świecie; a to wszystko dla większego naśladowania Chrystusa Pana naszego i dla większego w rzeczy samej upodobnienia się doń”(CD 167). Święty Andrzej Bobola był człowiekiem wolnym i siedł tam, gdzie, jak wierzył, potrzebuje go jego Pan, Jezus Chrystus. Wszystko inne wtedy stawało się szansą, możliwością służenia Bogu szansa i możliwością objawienia się Boga.

## II. ZWYCZAJNY CZŁOWIECZY LOS

Nie wiemy, gdzie ani kiedy dokładnie urodził się Andrzej Bobola. Przeszedł swoją drogę jakby niepostrzeżenie. Jak przepływa czas dnia od wschodu do zachodu słońca. Dopiero późnym popołudniem, wieczorem, mocniej zaznaczył czas swoją obecnością. Ale i to nie jest zupełnie prawdziwe, jako że wtedy wielu innych umierało gwałtowną śmiercią, często nawet okrutniejszą od jego śmierci. Pochowano go i tylko nieliczni pamiętali, nosili w swoim sercu pamięć o męczenniku. Ta pamięć również zeszła do grobu razem z nimi.

Andrzej Bobola urodził się w roku 1591. Do zakonu wstąpił w Wilnie w roku 1611. Świecenia kapłańskie przyjął 12 marca 1622 roku. Następnie pracował w placówkach jezuickich w Nieświeżu, Wilnie, Bobrujsku nad Berezyną, w Płocku, Warszawie, znowu w Płocku, w Łomży, w Pińsku na Polesiu, znowu w Wilnie i znowu w Pińsku. Stamtąd uciekał przed watahą Lichyja, ale w Peredyle został schwytyany i zawleczony między para koni do Janowa Poleskiego. Tam po długich torturach został zabity. Jego ciało zostało z powrotem przeniesione do Pińska i tam pochowane w podziemiach jezuickiego kościoła. Na trumnie współbracia umieścili tabliczkę: *Pater Andreas Bobola anno 1657 Maii 16 Ianovii occisus crudelissime*. W tym grobie, w podziemiach kościoła zwłoki Andrzeja pozostały do roku 1702. Odnalazł je poruszony przedziwnym snem rektor Marcin Godebski. Przez pół wieku zatem święty Andrzej pozostawał w ukryciu, jakby znowu czekał czasu, aby wyruszyć na nową misję.

Na to rusztowanie z dat i nazw miejscowości trzeba nałożyć czas nauki w szkołach i kolegiach. Pomędzy wymienionymi nazwami trzeba by jeszcze wstawić nazwy wielu wsi, o których jedynie Bóg pamiętał, skoro posłał tam swojego sługę, by głosił Ewangelię, na misję.

Z tego, co nam wiadomo, o jego przebywaniu pośród ludzi, wyłania się nam obraz człowieka porywczego, choleryka, ale również jakoś na swój sposób delikatnego,

wrażliwego. Oczywiście przysparzało to kłopotów jego najbliższym. I tak gdy jedni raczej nie wiązali z nim wielkich nadziei, inni byli odwrotnego zdania. Zwyczajnie, normalnie jak w życiu, jak na co dzień. Patrząc na tę tajemnicę Andrzejewego życia, tajemnicę zwyczajności codzienności przypomina się, jak wysoko Kościół czasu prześladowań stawiał właśnie zwyczajne życie, widząc je jako białe męczeństwo. Co prawda odnosiło się to do życia mniszego, pustelniczego, ale przecież istota pozostaje ta sama. Jest nią wierność obowiązkowi, wierność obranej drodze, wierność temu, który powołał człowieka na tę drogę. Trzeba zatem i nam popatrzeć w świetle tej tajemnicy, tajemnicy zwyczajności życiorysu Andrzeja Boboli, na naszą codzienność, na naszą zwyczajność. Trzeba popatrzeć pamiętając, że nawet jego męczeństwo było jakby zwyczajne, jedno wśród wielu innych.

Zwykło się mówić: szare dni, nijakie dni, proza dnia, zatechły czas, podły czas, nic się przecież ciekawego nie dzieje. A przecież za tę zwyczajność, pragnąc tej zwyczajności ludzie płacili życiem. Czegóż bowiem innego pragnęli ginący na wojnach, w więzieniach, obozach i łagrach, jak nie powrotu do zwyczajnego życia?

Zwyczajne dni i noce. Czy zwyczajne, skoro to właśnie z nich budujemy nasze życie? Bez tej zwyczajności przecież nadzwyczajność, święta przestają smakować a bywa, że stają się jedynie gorzkim rozpamiętywaniem straconego, minionego, prześnionego.

Nasza codzienność to przede wszystkim praca. Mówimy, i słusznie, że jest chora, że jest źle zorganizowana, że nie jest służbą i dzieleniem się, ale sposobem wyniszczenia człowieka. Mówimy, i słusznie, że nasza praca nie buduje mostów pomiędzy ludźmi, nie tworzy więzów braterstwa i solidarności. Może więc trzeba zacząć przypatrywać się temu zajęciu, które wykonujemy. Trzeba postawić sobie pytanie, czy to moje zajęcie jest jeszcze pracą, to znaczy, czy pomnaża jakieś dobro, czy może jest już antypracą, jest pomnażaniem jedynie większego lub mniejszego zła? Przecież nie wszystko, za co bierze się pieniądze i co daje chleb, jest zaraz pracą. Nie wszystko!

Nasza codzienność to dom, małżeństwo, rodzicielstwo, rodzina. Ta rzeczywistość stoi na pierwszym miejscu, przed pracą i przed wszystkim innym. I znowu rodzi się pytanie, wiele pytań. Dla świętego Andrzeja rodziną, domem był zakon, zakon jako część Kościoła. Za wierność tej swojej rodzinie, za swoich duchowych synów i córki, do których został posłany, oddał on życie. Nie ratował siebie, choć mógł uniknąć śmierci. Nam tymczasem jakże łatwo przychodzi nie tylko, że nie ratować, ale zabijać. Przywołajmy jedynie tych, których pozbawiliśmy życia jeszcze przed narodzeniem. Czyżby to miało znaczyć, że już nie umiemy, że zapomnieliśmy, czy też może nie nauczono nas miłości – tej najbardziej ludzkiej, rodzicielskiej i rodzinnej? Czyżbyśmy byli ludźmi nie znającymi już samych siebie i nie widzącymi, jak wiele w nas dobra i piękna? Przecież to w imię prawa do wznoszenia domu, do miłości, do małżeństwa tak wielu i tak wiele wycierpiało.

A przecież dla nas chrześcijan jest sprawą jasną, że małżeństwo, rodzina jest sakramentem. Podobnie praca. Jest ona przecież głosem dobrej nowiny,

przychodzeniem z dobrem już nie tylko do człowieka, ale do całego stworzenia. Może to właśnie dlatego nie możemy zamknąć życia świętego Andrzeja w wielkich datach i szumnych nazwach wielkich miejscowości. Zwyczajność jego życiorysu jest dla nas światłem pomagającym na nowo poznać piękno codzienności.

### **III. POWRÓT**

Daleką i okrężną drogą wracał Andrzej Bobola do swojej ojczyzny. Nawet ta ostatnia, jak się wydawało, podróż, ostatnią nie była. Wracał Andrzej Bobola w chwale świętego, w purpurze, w srebrze, w tryumfalnym pochodzie, pośród muzyki i śpiewu. Podróż trwała od 8 do 11 czerwca 1938 roku. Na dworcach kolejowych witano go jak dawno oczekiwanego gościa, ale gościa, który za prawo pobytu wśród swoich zapłacił śmiercią.

Czy nie ma jednak przesady w stwierdzeniu, że to święty Andrzej Bobola wracał, skoro wracały jedynie jego relikwie? Srebrno-kryształowa trumna z jego ciałem opierającym się czasowi i jego prawem niszczącym wszystko, co miało kiedykolwiek swój początek.

Podobne pytania rodzą się w nas dzisiaj, kiedy pielgrzymujemy do jego trumny w Warszawie, w kościele księży jezuitów. Ciało świętego Andrzeja przed podróżą do Polski i przed publicznym wystawieniem trzeba było jednak poddać ponownym zabiegom mającym na celu zatarcie śladów ludzkiej ręki pozostawionej na twarzy świętego. Być może trzeba w tym odczytać znak, odpowiedź, w jaki sposób trzeba nam patrzeć i rozumieć rzeczywistość relikwii?

Święty Andrzej Bobola nosi na swoim ciele zapis – krwawy, męczeński czasu, który dzielił ze współczesnymi. Jego relikwie są przesłaniem tamtego czasu pełnego krwi i ognia, przemocy i śmierci, a zarazem bohaterstwa, przebaczenia, miłości. Przybył zatem święty Andrzej, wciąż przybywa jako świadek grzechu i świadek zabawienia zarazem. Świadek grzechu, gdyż jego zmasakrowane ciało jest objawieniem się mocy Złego. Ponad tym ciemnym objawieniem jaśnieje jednak inne, potężne światło objawiające moc Boga i moc człowieka ufającego Bogu. Może więc to przygotowanie relikwii i do wystawienia i owo zatarcie śladów po torturach trzeba nam odczytać jako wezwanie do bardziej chrześcijańskiego spojrzenia na naszą wspólną z Litwinami, Białorusinami, Ukraińcami, Rosjanami i Żydami przeszłość? Zakryć rany i odszukać w zranionym ciele historii to wszystko, co jest większe od tych ran i co sprawia że te rany staną się objawieniem wspólnego nam dążenia do wolności, do siebie nawzajem, wreszcie do Boga? Wraca święty Andrzej z przeszłości nie po to, aby dzielić i pogłębiać różnice, ale po to, aby pojednać. To dzieło jednania rozpoczął on już zaraz po swoim pierwszym powrocie z grobu pod kościołem w Pińsku w roku 1702. Wtedy już zaczął gromadzić na modlitwę przy sobie

zarówno rzymskich katolików jak i unitów, co było zrozumiałe, ale i prawosławnych, co było już bardzo znaczące.

Święty Andrzej Bobola na skutek powrotu jego relikwii do Warszawy stał się znowu jakby bardziej obecny w swoim narodzie. Przybył on w czasie znamionym, na rok przed wybuchem drugiej wojny światowej. On, który przeżył swój czas w podobnych okolicznościach, przybywał w przeddzień rozpętania się Zła. W związku z kanonizacją przypomniano również Andrzeja |Bobolę® jako jednego z tych, których los za życia i po śmierci wiązano z nadzieją na odzyskanie niepodległości. Ten, dzięki którego wstawiennictwu zarówno Pińsk jak i okolice ocalały od powietrza, głodu, ognia i wojny na czas nowej zarazy, tym razem zarazy nienawiści rasowej, narodowej, ale też i nienawiści ujętej w systemy filozoficzno-społeczne i polityczne, nienawiści sięgającej po atrybuty boskiej wszechmocy. Na progu takiego czasu staje święty Andrzej jako znak nadziei. I jako dobry pasterz będzie dzielił los swojej trzody. Znowu będzie musiał opuścić swoje miejsce w kościele przy ul. Rakowieckiej. Jego relikwie we wrześniu 1939 roku zostały przeniesione do kościoła Patronki Warszawy przy ulicy Świętojańskiej. Nie na tym jednak koniec Andrzejewego pielgrzymowania, tułaczki dzielonej pospołu z mieszkańcami Warszawy jak również całego kraju. Podczas powstania warszawskiego trumnę z relikwiami przeniesiono do kościoła św. Jacka przy ulicy Freta. Tam też ukryta pod gruzami tejże świątyni doczekała roku 1945, by znowu powrócić na Rakowiecką Dzisiaj, patrząc na minioną wojnę, znowu dzięki świętemu Andrzejowi jaśniej dostrzegamy tych, którzy ją wygrali. Wygrali przez wieczne zwycięstwo. Znowu zwornikiem, symbolem tych wszystkich zwycięzców jest jeden człowiek – męczennik Maksymilian.

Kiedy więc dzisiaj, w obecnej chwili, święty Andrzej Bobola znowu szykuje się do drogi, do nowego kościoła jego imienia, to być może jest w tym fakcie również wezwanie do popatrzenia na nasze dni z perspektywy jego relikwii, jego losu, jego śmierci i kanonizacji oraz powrotu do ojczyzny? Powracał święty Andrzej drogą okrężną i bardzo daleką, z Połocka przez Moskwę do Rzymu i z Rzymu dopiero do Polski. Była to dla Andrzeja – jak za życia tak i po śmierci – podróż misyjna. Fakt, że jego ciało nie ulegało rozkładowi, stał się błogosławionym powodem zainteresowania ze strony ludzi niewierzących czy wprost wyznającym materializm i pragnących budować przyszłość świata na walce za pomocą rewolucji, a nawet na nienawiści, a więc na tym wszystkim, co było tak bardzo obce świętemu Andrzejowi.

W swoim czasie Andrzej Bobola zdobył się na odwagę sprzeciwu wobec przemocy. Ten sprzeciw wyraził się właśnie nieustannym trwaniem przy swoich przekonaniach i narażaniem siebie dla tych, którzy podzielali wiarę Andrzeja. Dzisiaj więc, kiedy znowu w umysłach wielu z jednej strony rozpanoszyło się przekonanie, że prawda nie istnieje, pograżając innych w rozpacz, możemy odkryć, że owo dzisiaj jest czasem dla chrześcijan.

Mamy przecież mowę i mądrość silniejszą od wszelkiej rozpacz. Andrzej Bobola – męczennik – jest jednym ze słów, tej mowy, mowy Bożej.

#### **IV. WYBRAŁ CHWALEBNĄ ŚMIERĆ**

„Eleazar, mąż już w podeszłym wieku, wybierając raczej chwalebna śmierć aniżeli godne pogardy życie, dobrowolnie szedł na miejsce kaźni. Ci, którzy byli wyznaczeni do tej bezbożnej uczty, prosili go, aby zjadł przygotowane przez nich mięso, które wolno jeść. Niech udaje tylko, że je to, co jest nakazane przez króla. Tak postępując uniknie śmierci. On jednak dał im odpowiedź mówiąc: Udawanie nie przystoi mojemu wiekowi. Jeżeli teraz mężnie zakończę życie, okażę się godny swojej starości, młodym zaś pozostawię piękny przykład ochotnej i wspaniałomyślnej śmierci za godne czci i święte Prawa. Mając już pod ciosami umrzeć, westchnął i powiedział: Bogu, który ma świętą wiedzę, jest jawne to, że mogłem uniknąć śmierci.

W ten sposób swoją śmiercią pozostawił nie tylko dla młodzieży, lecz także dla większości narodu przykład szlachetnego usposobienia i pomnik cnoty (por. Mch 6,18-31).

Wypełniać godne czci i święte Prawa. Jak widać, zawsze, nie tylko w naszych czasach, związane to było z wielkim trudem i niebezpieczeństwem. W którymś miejscu naszej historii okoliczności życia stawiają nas wobec obowiązku, a nawet konieczności dania świadectwa naszej wierności Bogu. Zwyczajność zostaje zawieszona i przychodzi na nas podobnie jak na Eleazara czas heroizmu. Podobnie jak w przypadku Eleazara i w przypadku Andrzeja Boboli. Godzina, w której miał on śmiercią oddać Bogu chwałę i w której Bóg miał objawić swoją moc w mocy człowieka oddającego życie za prawo Boże, dla Andrzeja Boboli przyszła, kiedy miała on już ponad sześćdziesiąt lat. Andrzej również miał możliwość wyratowania się z ręki swych oprawców, ale tego nie uczynił. Sprostął przez to wielkości swego czasu.

Nic więc dziwnego, że kiedy w 1920 roku wojska radzieckie zbliżały się do Warszawy, w stolicy urządzono procesję z relikwiami błogosławionego Andrzeja. W ten sposób znowu kaznodzieja Andrzej Bobola umacniał swoich braci w wierze i wzywał ich do obrony tejże wiary.

My dzisiaj nie jesteśmy narażeni na utratę życia, na przelanie krwi. Trzeba jednak, abyśmy pamiętali, że istnieje śmierć jeszcze gorsza od śmierci ciała. Jest nią śmierć duszy i zbiera ona swoje żniwo niezależnie od tego, czy wokół nas panuje wojna, czy też pokój. Może nawet czas pokoju bardziej sprzyja panowaniu się śmierci duchowej niż czas wojny. Jeśli jest tak, jak myślimy, to z tego wynika, że każdy zwyczajny czas wymaga bohaterstwa i to bohaterstwa rozpisanego na szereg lat. Bez tego bowiem cichego bohaterstwa



niemożliwe jest bohaterstwo śmierci cielesnej, fizycznej. Święty Andrzej Bobola wzorem innych świadków wiary nie wyparł się wiary, niczemu nie zaprzeczył. Patrząc dzisiaj na jego wierność trzeba i nam czynić rachunek sumienia z naszej wierności, zwłaszcza wobec tych, którzy mają odwagę żyć zgodnie z sumieniem, zgodnie z tym, co wielu uważa za przejaw niedostosowania się do współczesności, do wymogów nowoczesności, za brak rozsądku politycznego. Tacy ludzie – prześladowani dla sprawiedliwości – przede wszystkim w nas, chrześcijanach, winni znajdować obrońców i współtowarzyszy w swoich staraniach o świat bardziej ludzki.

Andrzej Bobola umarł dla prawdy. Znowu trzeba się nam nad tym wciąż zastanawiać. Mówi się, że żyjemy w świecie, w którym prawda nie popłaca. Tak przynajmniej starają się chrześcijanom wmówić wszyscy, którzy żyją z kłamstwa. To prawda, że w naszym położeniu zmuszeni jesteśmy ukrywać wiele z tego, co gdzie indziej dzieje się na oczach wszystkich. Prawdą jest jednak i to, że w pewnym momencie zatracamy naszą tożsamość i już niczym nie różnimy się od tych, którzy usiłują nas okłamać, od tych, przed którymi się bronimy. Nie wiadomo zatem, czy to, co czynimy, jest jeszcze obroną, czy jest już tylko korzystaniem z okazji, aby wygodnie się urządzić za wszelką cenę, również za cenę prawdy, przekonań. Taka postawa jest szczególnie niebezpieczna wtedy, gdy wychowujemy innych, gdy jesteśmy rodzicami, nauczycielami, duszpasterzami. Eleazar wolał śmierć niż życie, byleby tylko pozostawić młodym piękny przykład wierności Prawu. Podobnie święty Andrzej Bobola nie dał się skusić obietnicą życia za cenę zaparcia się tego wszystkiego, co głosił, czemu dotychczas poświęcił swoje życie.

Święty Andrzej oddając życie za prawo człowieka do prawdy stał się przez to samo apostołem tego prawa do dnia dzisiejszego i dalej na przyszłe lata. To również jest jego zwycięstwo. Przecież Andrzejowi Boboli bardzo zależało na dotarciu do wielu, na ciągłym zmienianiu miejsca pobytu i trudu, na tym by być tam, gdzie potrzebuje go Bóg. Najważniejszą sprawą dla świętego Andrzeja było nieustanne głoszenie Ewangelii. I oto dzięki męczeńskiej śmierci stał się kapłan Andrzej Bobola wciąż żywym słowem Boga. Można zatem z całą pewnością powiedzieć, że Bóg spełnił pragnienia świętego Andrzeja. Przeprowadzając swojego sługę przez okrutną śmierć oczyścił go jak złoto i uczynił swoim słowem, Bożym Słowem.

Dzięki temu my dzisiaj możemy inaczej spojrzeć na pragnienie, nasze bardzo ludzkie pragnienie szczęścia, pokoju, radości. Marzenie, pragnienie świętego Andrzeja, jego serca, spełniło się. Bardzo pragnął być potrzebny Bogu i ludziom. I jest potrzebny, i będzie potrzebny, dokąd tylko będzie istniał Kościół. To swoje szczęście zdobył jednak Andrzej Bobola za cenę wierności, wierności prawdzie objawiającej się mu w Kościele. Natomiast nasze nieszczęście bierze się często stąd, że Kościół przestał być dla nas

źródłem i potwierdzeniem prawdy, że często bierzemy za prawdę jedynie to, co jest zgodne z naszymi dzisiejszymi, chwilowymi pragnieniami, co jakoś mieści się w naszym doświadczeniu. Boimy się też pewnie Kościoła dlatego, że on swoim bogactwem nagromadzonym przez wieki z natury rzeczy staje się dla nas wyzwaniem i wezwaniem do życia odważnego, hojnego, wspaniałomyślnego, mądrego. Krótko mówiąc – do życia na miarę dzieci Bożych. A że na dodatek Kościół nie ma względu na osoby, zaś prawo Boże jednak obowiązuje wszystkich, nic dziwnego, że staramy się o Kościele zapomnieć.

Chcąc głębiej pojąć życie i śmierć człowieka trzeba, tak jak dzisiaj dla zrozumienia losu Andrzeja Boboli, oglądać je w świetle Bożego słowa i w świetle żywej tradycji Kościoła. Ta tradycja jest przecież umiejętnością rozpoznania tego, co dzisiaj jest godne naszego trudu.

## **V. POLITYKA – BŁOGOSŁAWIEŃSTWO CZY POKUSA?**

Słowo „polityka” brzmi w naszym kraju raczej groźnie i kojarzone jest raczej z ciemną stroną ludzkiego myślenia i działania. Skłonni jesteśmy raczej unikać wszystkiego, co jest związane z polityką, czy też jest tak nazwane, niż się w to angażować. Zresztą wmówiono nam, że polityka i wszystko co polityczne jest zastrzeżone jedynie dla niektórych, wybranych i wyznaczonych przez tych, którzy już dzisiaj sprawują władzę. Mówi się również, że Kościół nie może i nie powinien się mieszać do polityki. Tymczasem II Sobór Watykański naucza: „Ci, którzy posiadają talent do działalności politycznej, lub mogą się do niej nadawać, a jest to sztuka trudna i zarazem wielce szlachetna, niech się do niej sposobią i oddają się jej, nie myśląc o własnej wygodzie lub uzyskanym stanowisku. Niech występują przeciw niesprawiedliwości i uciskowi ze strony jednostki lub przeciw samowładztwu i nietolerancji partii politycznej, działając roztropnie i nienagannie pod względem moralnym, a niech poświęcają się dobru wspólnemu w duchu szczerości i słuszności, owszem, z miłością i odwagą polityczną”(KDK 75). Dalej tenże Sobór naucza, że „Kościół „ ma charakter religijny. Ale z tejże właśnie religijnej misji wypływa zadanie, światło i siły, które służyć mogą założeniu i utwierdzeniu wspólnoty ludzkiej według prawa Bożego” (KDK 42).

Czasy świętego Andrzeja Boboli to czasy bardzo polityczne. Wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej i sprawy krajów ościennych wiązały się tworząc bardzo tragiczny splot. Zdobyć koronę, władzę i poszerzyć swoje terytorium, przesunąć granice, osłabić sąsiada i podporządkować jego dobro, jego interes własnemu – to wszystko powodowało, że nasze ziemie stały się miejscem starcia Polaków, Litwinów, Rosjan, Szwedów, Rusinów, Niemców i wielu innych nacji. W rękach polityków ludzie stawali się jednostkami taktycznymi w

walce lub monetą przetargowa w rokowaniach. Oni też, na co dzień zwykli ludzie, w rękach polityków stawali się katami i ofiarami, zbrodniarzami lub świętymi.

W dziwny sposób również Andrzej Bobola jawi się jako człowiek zaangażowany w politykę. I to zarówno za życia jak i po śmierci. Za życia przyszło mu pracować i budować w czasie, gdy burzono, rozrzucano, wycinano zarówno drzewa jak i ludzi. Właśnie wtedy ojciec Andrzej w tę rolę poruszoną przez wojnę, w ludzkie umysły zasiewał ze spokojem Słowo Boże. Czynił to samo, co dzisiaj radzi nam Sobór, jak już słyszeliśmy. Siał Boże Słowo głosząc je podczas misji, ale też czynem spieszył na pomoc chorym na zarazę, która zwykle towarzyszyła walkom wojennym. To jego spokojne pełnienie swojej kapłańskiej powinności dociera do nas dzisiaj jako głośny protest, głośne dopominanie się o sprawiedliwą politykę. Jest to również dla nas, chrześcijan, napomnieniem i wezwaniem do rachunku w sumieniu z grzechu zaniedbania troski o sprawiedliwą politykę i z grzechu braku odpowiedzialności za tych, którym władze powierzamy, a także grzechu uchylania się od uprawiania polityki, z grzechu nieangażowania się w działalność polityczną. Przywołajmy jeszcze raz Sobór: „Potępia się (...) wszelkie formy ustroju politycznego, panującego w niektórych krajach, które krępują swobodę obywatelską lub religijną, mnożą ofiary namiętności i przestępstw politycznych, a sprawę rządu przedstawiają ze służby dobru wspólnemu na dogadzanie jakiemuś stronnictwu lub na korzyść władzy państwowej” (KDK 73). Owocem tej namiętności rozszalałej za sprawą polityków było męczeństwo wielu ludzi z różnych religii i narodowości. Święty Andrzej Bobola jest ich wspólnym imieniem, ich słowem do nas.

Mając zatem świadomość niebezpieczeństw powodowanych przez polityków, wykorzystujących swoje powołanie w sposób nieuczciwy, nie możemy jako chrześcijanie pozostać jedynie krytykami ich działalności. Odwrotnie, nauczeni doświadczeniem – jak choćby czasów świętego Andrzeja – mamy obowiązek uprawiać politykę. Przez nią głosić Dobrą Nowinę całemu stworzeniu i dzięki niej zło dobrem zwyciężać.

Sprawowanie władzy widziane jest przez chrześcijan jako wezwanie do służby i to służby w miłości. Od takiej służby nie wolno się nam uchylać również, a może przede wszystkim wtedy, gdy polityka jawi się jako zło. Właśnie wtedy trzeba zacząć uprawiać politykę zarówno występując przeciwko niesprawiedliwości, jak uczy Sobór, jak również tworząc warunki do uprawiania sprawiedliwej polityki.

Nie możemy też wyzbyć się odpowiedzialności za decyzje polityczne tych, którym daliśmy władze wybierając ich, wszystko jedno czy do rządu w państwie, czy zarządu spółdzielni. Winy rządzących są również winami ich wyborców, jeżeli ci ostatni chociażby tylko przez przemilczenie, nawet ze strachu, godzą się z nadużywaniem władzy lub jej wadliwym sprawowaniem czy jakimkolwiek innym złem.

Chcąc zatem w pełni wykonać polecenie misyjne Jezusa Chrystusa, nie możemy wyłączać polityki ze sfery naszych zainteresowań. Może to właśnie dlatego z osobą Andrzeja

Boboli wiążano proroctwo o odzyskaniu przez nasz kraj wolności. Wolność tę przecież unicestwiły decyzje polityczne naszych sąsiadów. Samo pojawienie się Andrzeja Boboli, odnalezienie jego relikwii też przypada na czas wielkiego poruszenia politycznego. Podobnie jest z jego powrotem do Polski w 1938 roku. Przecież ten powrót miał miejsce wtedy, gdy już mocno szykowano się do następnego przesilenia politycznego, do wojny światowej.

Święty Andrzej zapewne wracał również po to, aby umocnić tych wszystkich sprawiedliwych, którzy będą mieli odwagę ocalać to, co inni zechcą uśmiercać. Tak jest również dzisiaj.

## **VI. KREW WOŁAJĄCA O JEDNOŚĆ KOŚCIOŁA**

W liście na tysiąclecie Chrztu Rusi Jan Paweł II nazwał chrześcijan żyjących dzisiaj na tych ziemiach spadkobiercami, dziedzicami jedności Kościoła, jaka panowała wtedy, gdy w Kijowie udzielono chrztu. Wspomina też Papież o Kościele ukraińsko-katolickim, o tym, że w Brześciu Kościół ten potwierdził tę pierwotną jedność. Do dzisiaj jednak ta sprawa, sprawa unii, jest przedmiotem sporu pomiędzy Kościołem prawosławnym a Kościołem rzymskokatolickim.

Dzisiaj jednak trzeba w naszym rozważaniu przywołać innych naszych braci, których krew wtedy i później często przelewano – Żydów. Jan Paweł II nazwał ich naszymi starszymi braćmi w wierze i dziedzicami nieodwracalnych obietnic Bożych. W krwawych czasach świętego Andrzeja Boboli oni także mocno ucierpieli. Usiłuje się czasem tłumaczyć prześladowania Żydów względami natury ekonomicznej, ale jeśli nawet to sprawę rozjaśnia, wcale jej nie usprawiedliwia. Pragnie się również widzieć Żydów jak i innych uczestników tych bolesnych wydarzeń w świetle marksistowskiego twierdzenia o powszechności walki klas. Wtedy zarówno Żydzi jak i Polacy jawią się jako ciemniacy, zaś w Andrzeju Boboli widzi się człowieka co prawda dobrej woli, ale mimo wszystko również zwolennika wyzysku i wszelkiej innej przemocy.

Wtedy i później ginęli również prawosławni. Całymi wsiami mordowani. Znowu usiłuje się jakoś tę tragedię zrozumieć posługując się w myśleniu o nich kategoriami politycznymi. Oto tworzy się nowy naród, zyskuje swoją świadomość i przez to staje się zagrożeniem dla dotychczasowego porządku politycznego. Oczywiście jest to prawda, ale to znowu nie usprawiedliwia ani ofiar, ani prześladowców, gdyż jedni i drudzy byli nimi dla siebie nawzajem. Kto się bronił, kto zaś atakował? Po jednej i po drugiej stronie ginęli ludzie niewinni, niewinni przez to, że ta krwawa wojna nie była ich dziełem, ale odwrotnie – była nieszczęściem przeszkadzającym i niszczącym ich pracę, poświęcenie, trud, ich pragnienia i marzenia.

Wreszcie trzeba przypomnieć tych, o których nie tylko ludzie, ale jakby i Bóg zapomniał, a których odszukiwał ojciec Andrzej, o na wpół poganach na wpół chrześcijanach zamieszkujących bagna i lasy Polesia. To do nich święty Andrzej wciąż wracał. Wśród nich prowadził misje, chrzczył, błogosławił małżeństwa przez całe lata żyjące bez ślubu kościelnego na skutek zaniedbań ze strony duchowieństwa, spowiadał. Andrzej Bobola duszochwat nie wykradał dusz, ale duszom dawał siebie i to, co miał najcenniejsze – wiarę.

Katolicy, prawosławni, unicy, żydzi, na wpół poganie i zarazem taka sama prawie liczba albo i większa narodowości i kultur. W czasach świętego Andrzeja to całe bogactwo stało się przekleństwem, nic więc dziwnego, że do dzisiaj echo tamtych tragedii straszy, przeraża. Do tego stopnia, że niektórzy chcieliby te wszystkie różnice pozacierać, a właściwie uczynić je nic nie znaczącymi, nonsensownymi, a nawet niegodnymi ludzi dwudziestego wieku. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że nasz dwudziesty wiek został naznaczony i jest wciążznaczony tragedią nacjonalizmu, nietolerancji, terroryzmu i tak dalej.

Nie w ucieczce – patrząc na świętego Andrzeja widzimy to jaśniej – nie w ucieczce jest dla nas ratunek, ale odwrotnie, w nieustannym nawracaniu do tegoż bogactwa różnorodności. Bo to jest wielkie bogactwo. Przeraża ono jedynie tych, którzy chcieliby budować świat ujednoczony i wymierzony według możliwości ich małych umysłów i serc, nie zaś według mądrości Boga, Boga Żywego, Boga męczenników, mędrców, wielkich serc, wielkich czynów, ale też spraw najprostszych i najpiękniejszych, jak rodzinny dom, dostatni stół, spokojna noc.

Kiedy zatem wokół szalała krwawa przemoc, ksiądz, Andrzej Bobola czynił swoje. Wykonywał swoją powinność zakonnika posłanego do głoszenia zbawienia. Jak mógł, tak odwlekał czas i czas zdobywał. Potrzebny był mu ten czas nie na życie, ale na głoszenie Ewangelii. Kiedy wiedział, że zbliża się niebezpieczeństwo, uciekał w inne miejsce. Ale i tam go odnaleziono i schwytano. Właściwie to nawet schwytano go na drodze.

Tragedie podobne do naszej miały miejsce również pośród innych narodów i w innych państwach. Dla przykładu Anglia. Potrafili jednak Anglicy przy grobach swoich dwóch królowych: Elżbiety i Marii, umieścić napomnienie dla tych, którzy będą tam przychodzić i przestrzec nie tylko przed nienawiścią, nie wzywać do poszanowania sumienia obu stron niegdyś ze sobą walczących, dzisiaj jednak szukających dróg ku jedności. Wzywa się też w tym napomnieniu do modlitwy o jedność.

Czy można więc twierdzić, że Andrzej Bobola, że Kościół unicki, że cała przeszłość, historia Żydów, - można by tu wymieniać cały szereg jeszcze innych powodów – że są to przeszkody na drodze pojednania? Czy można też wciąż podtrzymywać decyzje polityczno-administracyjne, które doprowadziły do delegalizacji tegoż Kościoła na Ukrainie i w całym Związku Radzieckim?

Krew wszystkich męczenników, bez względu na to, skąd pochodzą, nie może być przeszkodą. Odwrotnie, ta krew ocala bogactwo wiary i jej wyrazu, bogactwo człowieczeństwa i kultury, która przecież jest wyrazem tegoż człowieczeństwa. Ta krew ocali też bogactwo Kościoła i jego nieustanne, wciąż nowe i coraz piękniejsze wcielanie się w coraz to odnajdywanych nowych ludzi i ich sposoby myślenia, przeżywania, w ich domowy, ojczyzny świat.

Nieszczęście rodzi się tam i wtedy, gdy człowiek przestraszy się tego bogactwa, gdy zapomni, że jest ono od Boga i zacznie budować siebie i swoją kulturę nie ekumenicznie, a więc na miarę obrazu Boga, ale na swoją. Gdybyż na swoją jako człowieka! Nieszczęście rodzi się, gdy człowiek rezygnuje z bogactwa swego człowieczeństwa.

## **VII. NIE LĘKAJCIE SIĘ !**

Beatyfikacja, a tym bardziej kanonizacja, jest zawsze świadectwem wiary Kościoła we wszechmoc Boga. Ogłaszając słabego człowieka błogosławionym i świętym Kościół zawsze wyraża również wiarę w człowieka, w człowieczą wielkość i dobroć. Te dwie wiary – wiara w Boga i wiara w człowieka – nie mogą istnieć obok siebie, tym bardziej nie mogą być sobie przeciwne. Człowiek bowiem, świadomie czy też nieświadomie, całą swoją istotą przyzywa Boga, tak jak przyzywa się drugą osobę, jak przyzywa się człowieka.

Gdzie zapanuje niewiara w Boga, tam też bardzo szybko zjawia się taka wiara w człowieka, w której człowiek zaczyna się czuć bogiem. Straszliwe to złudzenie. Kanonizacja wprowadza i zabezpiecza człowieka przed tym złudzeniem. Człowieka staje się Bogiem nie dlatego, że siebie takim uczynił, ale dlatego, że Bóg obdarował człowieka sobą. Błogosławiony jest więc każdy, kto nigdy nie będąc godnym przyjmuje Boga, opiera na Jego mądrości swój umysł, swoje serce łączy z Jego sercem i swoją wolę podporządkowuje Jego woli. Jednak i tu obowiązuje Boskie prawo posłuszeństwa, prawo miłości i to podporządkowanie ma być jedynie jednym, z jej imion.

Nieszczęście człowieka zaczyna się w momencie, gdy rezygnuje on ze szczęścia płynącego z daru, zaczyna zaś upatrywać większego szczęścia w posiadaniu. Wcześniej czy później troska o zdobycie szczęścia, wysiłek z tym związany zaowocują lękiem, strachem, aż chorobliwym, przed dniem następnym, przed innymi ludźmi, przed chorobą, przed podróżą, przed wszystkim. Wszystko bowiem staje się zagrożeniem, tym ewangelicznym złodziejem czy mołem czyhającym na naszą zgubę. Strach taki, jeśli człowiek pozwoli mu się zagnieździć w duszy, staje się więzieniem, kajdanami.

Nic zatem dziwnego w tym, że strach uchodzi za jedną z lepszych metod rządzenia ludźmi. Najpierw trzeba ludzi zmusić do tego, by zaczęli się wszystkiego i o wszystko obawiać, potem zaś trzeba ludzi przekonać, że tak już musi być i że nie istnieje żadna siła władna ten strach i tę niemoc unicestwić.

Oddając więc dzisiaj cześć świętemu męczennikowi Andrzejowi warto zapytać siebie samego: O co się modłę? Czy jedynie o to, by Bóg zabezpieczyć to nasze kruche szczęście, czy może wreszcie o to, by uczynił z nas źródła szczęścia dla nas i dla innych? Źródła – gdyż Bóg uczyni nas posiadaczami skarbu, jakim jest umiejętność wyprowadzenia ze strachu. Dobrze to obrazuje tekst hymnu:

Kto poznał w Panu  
Tajemnicę życia  
Ten bardziej pragnie  
Służyć niż panować  
Posłusznym sługą  
Pan da wieniec życia  
Wtedy gdy śmierci  
Zejda na nich mroki  
Bo nasze życie Życiem Jego Syna  
A Syn posłuszny Ojcu  
Był do śmierci swej

*(słowa Piotr Kostyło, muzyka Maklakiewicz)*

Również nas starają się dzisiaj przekonać, że żyjemy w czasach pozbawionych wszelkiej nadziei. Począwszy od nadziei na ocalenie nas samych, naszych rodzin, nie mówiąc już nawet o ocaleniu ziemi. Wszystko wszystkiemu zagraża, i to zagraża śmiertelnie. Dla nas, chrześcijan, nie ma w tym jednak nic nowego. Kościół już dawno przestał się łudzić możliwością rajy na ziemi. Owszem, nasza ziemia będzie częścią nieba, ale będzie to nowa ziemia i nowe niebo. Dzisiaj jednak szczęście nas nie omija, a nie czekamy na nie, nie wyglądamy go.

Znowu trzeba przywołać świętego Andrzeja. Jego życie wciąż się motało i komplikowało. Już w nowicjacie i na studiach jedni widzieli w nim człowieka niezwykle zdolnego i pracowitego, drudzy zaś człowieka nieopanowanego, porywczego, a nawet bez większych możliwości intelektualnych, skoro nawet najważniejszy z egzaminów nie został mu zaliczony. Podobnie sprawa ze ślubami. Potem ciągle zmiany miejsca pracy kapłańskiej i zakonnej. Potem nieludzkie warunki w tych miejscach i nieludzkie warunki stanu wojny. Andrzej Bobola jednak czynił swoje. I tal stawał się nadzieją, wyprowadzał z rozpacz, otwierał oczy i uszy, aby trafić do serca. Święty Andrzej żył jakby poza tragizmem swojego czasu. I choć spadały na niego wszystkie nieszczęścia jego czasu, nie były one w stanie zastraszyć go, gdyż widział je jako wołanie ludzkiej biedy, jako prośbę o ratunek. Można więc powiedzieć, że święty Andrzej w tej swojej nieustraszonosci naśladował Jezusa na drodze krzyżowej. Jezus bowiem jakby zapomina o bólu, troszczy

się natomiast o ból innych: współczujących mu kobiet, swojej Matki i Jana, o ból łotra. Zwycięstwo świętego Andrzeja nie jest zwycięstwem li tylko nad strachem, ale jest zwycięstwem przez czynienie swojej powinności bez względu na szalejące zło. Andrzej Bobola nie pozwolił złu wciągnąć się do walki, walki dyktowanej przez Złego, lecz tam gdzie mógł, rozbudowywał dobro, najzwyklejsze i dostępne każdemu. Tym zwyciężył.

### **VIII. NON POSSUMUS!**

Rozważając tajemnicę męczeństwa w pewnym momencie stajemy wobec czegoś, co jakby nie pasuje do całości. Oto człowieka tak bardzo wrażliwy na piękno życia, na miłość, naprawę – sam siebie wydaje w ręce swoich wrogów, sam siebie niszczy, choć mógłby siebie uratować i to wcale nie za cenę zaparcia się swoich poglądów czy może i za tę cenę. Ale i tę próbę ratunku można by zrozumieć. Jest jednak inaczej. W pewnym momencie męczennik wydaje siebie za śmierć. Podobnie było ze świętym Andrzejem. Kiedy wataha Lichyja zajęła Piński, ojcowie Andrzej Bobola i Szymon Maffon uciekali furmanką na zachód. Daleko jednak nie ujechali. Schwytano Andrzeja w Predyle i zawleczono do Janowa Poleskiego, gdzie dopełniono karni. Przez cały czas istniała autentyczna możliwość uratowania życia. Wystarczyło tylko się odłączyć od swojego rzymskokatolickiego Kościoła. Tego jednak święty Andrzej już uczynić nie mógł. Dalej uciekać już nie mógł, gdyż nie byłaby to ucieczka dla ratowania czegokolwiek, lecz byłaby to zdrada.

Myślę jednak, że taka postawa w dobie ekumenizmu, tolerancji, parlamentaryzmu, demokracji może niejednemu z nas nastroczać znaczne trudności. My jesteśmy przyzwyczajeni do innego sposobu myślenia. Wszystko przecież jest względne, wszystko można widzieć rozmaicie, wszystko można uzgodnić, przegłosować. A jednak nie, a jednak ten, kto potrafi pozostać wierny, oddaje największą przysługę zarówno swoim wrogom jak i przyjaciółom. Może więc miłość do nieprzyjaciół polega na obstawaniu przy tej prawdzie, w jaką wierzymy? Choć oczywiste jest i to, że błądzimy i winniśmy być gotowi ustąpić. Natomiast w przypadku ślepej przemocy w pewnym momencie pozostaje już tylko jedno – powiedzieć: *Non possumus!*

Istnieją zatem prawdy i wartości większe od ludzkiego życia, stanowiące wartość tego życia. Z czego oczywiście nie wynika, że ktokolwiek ma prawo kogokolwiek poświęcać dla tych wartości. Natomiast człowiek sam może poświęcić siebie samego i może drugiemu dać takie prawo.

Tak się dzieje np. wtedy, gdy ludzie wspólnym wojennym, zbrojnym wysiłkiem bronią swojego kraju.

Wydaje się jednak, że nasz czas jest czasem, w którym jakby zatracono zapotrzebowanie na życie, na życie wartościami, na życie w pełni. Wygląda na to, że boimy



się życia i przez to samo boimy się wieczności, boimy się Boga, a przede wszystkim samych siebie.

Możemy śmiało powiedzieć, że przez fakt sprowadzenia w 1938 roku relikwii do Polski, sługa Boży Andrzej przybył na taki właśnie czas do swojej ojczyzny. On oddał życie, byleby pozostać wiernym swojemu Kościołowi. Kiedy więc i my zasiadamy do dyskusji, kłękamy i stajemy do wspólnej modlitwy, kiedy mówimy o pojednaniu, to trzeba, byśmy nieustannie pamiętali o tym, co jest naszym bogactwem, co przynosi więcej światła, ukazuje pełniejszy obraz rzeczywistości Bożej i kościelnej w świecie. Ekumenizm taki, który by zawężał obraz Kościoła, upraszczał ten obraz być może jest ponętą propozycją, ale nie doprowadzi do jedności, gdyż nie będzie to jedność bogata, życiodajna, piękna, ale karłowata i nędzna.

Święty Andrzej Bobola oddał życie za Kościół bogaty różnorodnością zarówno myśli jak przeżycia, języka jak i rytu, rzeczy zewnętrznych jak i duchowości, prawa i porządku. Oddał życie za taki Kościół, który potwierdził swoją jedność w Brześciu. Nie powinien więc istnieć kłopot z tym, co jeszcze trzeba wyrzucić, z czego zrezygnować, czego się pozbyć po jednej i po drugiej stronie. Winien istnieć natomiast wysiłek podejmujący się głębszego, ewangelicznego, bardziej kościelnego zrozumienia wzajemnego bogactwa. Wtedy nie trzeba będzie odrzucać istniejących różnic. Staną się one warunkiem, szansą, możliwością pełniejszego odczytania woli Boga względem jego Kościoła.

Dobrze byłoby zatem, gdyby miejsce relikwii świętego Andrzeja Boboli, tak jak to już było, stało się miejscem zarówno wspólnej modlitwy chrześcijan jak i refleksji nad Kościołem w duchu ekumenicznym, a więc w duchu poszukiwania zapomnianych skarbów Bożej mądrości i miłości. Święty Andrzej przez swoje męczeństwo byłby zarazem stróżem strzegącym umysłów, i serc, strzegącym przed odchodzeniem z dróg uczciwego wysiłku i odważnego wysiłku.

Przy trumnie i relikwiach świętego Andrzeja jest również miejsce dla niewierzących, nie tylko dla chrześcijan wielkich i mniejszych tradycji Wschodu i Zachodu. Przecież wszyscy wciąż szukamy światła, które pozwoliłoby nam dokładniej widzieć mechanizmy kierujące światem, niechby tylko naszą ziemią. W ten sposób przypomnielibyśmy zarówno Europie jak i Azji, a może i szerzej, ale zwłaszcza sobie samym, gdzie bije, wciąż bije źródło tego wszystkiego co w nas najlepsze. Owszem, okazałoby się, że to źródło – Dobra Nowina – jest zaśmiecone, przywalone, poranione jak Ten, Który je tworzy, ale że woda w tym źródle jest wciąż żywa i czysta. Ekumenizm winien być poszukiwaniem tej wody.

Zatem święty upór męczenników trwania przy prawdzie nie jest jedynie sprawą ich odwagi, ich sprawą jedynie osobistą, ale jest sprawą Boga. W ten sposób bowiem Bóg objawia swoją miłość, zaś w tej miłości objawia się miłość człowiecza uzyskując nową prawdziwość i piękno.

Święty Andrzej Bobola jak wydał siebie na śmierć w roku 1657, tak i dzisiaj staje przed nami i zachęca do wierności Bogu, do wierności takiej, która i śmierć potrafi przekształcić w słowo miłości.

Takiego duch był współczesny nam sługa Boży kardynał Stefan Wyszyński. Wycierpiał wiele i dzięki temu wciąż jest światłem dla poszukujących prawdy w życiu religijnym jak też społecznym i politycznym. Jet t to samo światło, którym jaśniejże święty Andrzej.

*Non possumus !* Znaczyłoby również: Nie mogę przestać kochać!

## **IX. ANDRZEJ BOBOLA EWANGELICZNE SŁOWO DLA NAS**

Zabierz, Panie, i przyjmij  
całą wolność moja,  
Pamięć moją i rozum,  
i wolę mą całą,  
Cokolwiek mam i posiadam.  
Ty mi to wszystko dałeś -  
Tobie to, Panie, oddaję.  
Twoje jest wszystko.  
Rozporządzaj tym w pełni  
wedle Twojej woli.  
Daj mi jedynie miłość Twą i łaskę  
albowiem to mi wystarcza.

*(CD 234)*

Duch tej modlitwy św. Ignacego z Loyoli jest również tym duchem, który ożywił świętego Andrzeja Bobolę. „Daj mi jedynie miłość Twą i łaskę, albowiem to mi wystarczy”. Pewnie te słowa wyjaśniają tajemnice jego życia i śmierci. Był Andrzej Bobola jednym z kilku dziesiątków zamordowanych duchownych. Ale jedynie on został przypomniany potomnym i jedynie on stał się symbolem, zwornikiem, znakiem swego czasu i sobie współczesnych, i to zarówno tych, którzy go kochali jak i tych, którzy go nienawidzili. Tak, jest Andrzej również symbolem tych, którzy go nienawidzili. Nosi bowiem na swoim ciele po dzień dzisiejszy ślady ich rąk i nóg. Tajemnicą Boga i tajemnicą księdza Marcina Godebskiego pozostanie fakt odnalezienia relikwii Andrzeja Boboli w podziemiach kolegium w Pińsku. Jak za życia, tak i po śmierci święty Andrzej wciąż wędrował i zjawiał zawsze tam, gdzie był potrzebny. Wiódł go przecież duch Miłości. Dlatego gdziekolwiek się zjawiał, tam był siebie, tam znajdował dla siebie zajęcie. Gdziekolwiek się znajdował, był tam niezbędny. Zaraz, nędza materialna i duchowa, wrogość, zasadzki nieprzyjaciół i

pośród tego posługa duszpasterska, kazania, chrzty, spowiedzi, misje. Zwyczajny trud jak wielu innych współbraci. Przyszedł jednak dzień, kiedy trzeba było to wszystko albo przypieczętować swoim życiem tracąc je, albo za cenę tegoż życia wszystkiemu zaprzeczyć. Andrzej Bobola pozostał wierny i dlatego wierzymy, że odnalezienie jego trumny w podziemiach pińskiego kolegium jest znakiem Boga dla Kościoła, dla nas.

Znak, w miarę upływu czasu stawał się coraz bardziej czytelny. Można powiedzieć, że nie dane było szczątkom Andrzeja Boboli zbyt długo spoczywać w jednym miejscu. Oto rozpoczyna się następna podróż, następna wędrówka z Połocka do Moskwy, stamtąd do Rzymu i wreszcie znowu na ziemię Rzeczypospolitej, do Warszawy. Trumna z ciałem świętego Andrzeja została przywieziona do Warszawy w przeddzień drugiej wojny światowej, 17 czerwca 1938 roku. Znowu zatem święty Andrzej przybył tam, gdzie już narastało nowe nieszczęście. I jak przed śmiercią dzielił on los, dolę i niedolę swoich braci w wierze, również teraz będzie się ukrywał po kościołach Warszawy aż do jej zburzenia. W jej gruzach relikwie przetrwają do 1945 roku. Przedziwne jest to nieustanne trwanie świętego Andrzeja Boboli w tych miejscach, gdzie najsrożej szaleje zło.

Kiedy więc zbliża się rocznica powrotu relikwii świętego do Rzeczypospolitej może należy zapytać, co po tylu latach ten znak dany nam od Boga przez kanonizację, dzisiaj nam mówi? Otóż patrząc na los Andrzeja Boboli jedno można stwierdzić – pozostawał on zawsze wierny tym, do których został posłany. Wierny za każdą cenę. Dzięki tej wierności wypływającej z zawierzenia Bogu, z oddania Bogu swego losu święty Andrzej trwał przy Kościele. Nawet jeszcze w Janowie Poleskim za cenę odstąpienia od Kościoła mógł ująć cało z rąk zadających mu śmierć, a nawet mógł liczyć na spokojny chleb. Wybrał śmierć, tyle bowiem mógł jeszcze uczynić, tyle bowiem jeszcze mu umożliwiono – śmiercią ogłosić, że śmierci uczynić słowo, ostatnie słowo swojej miłości do Kościoła.

Pytając więc o przesłanie pięćdziesiątej rocznicy kanonizacji i przybycia relikwii świętego Andrzeja Boboli do ojczyzny trzeba pytać siebie o wierność, o wierność Bogu przez wierność Kościołowi.

Następną sprawą, której nie sposób nie dostrzec stojąc przed trumną z relikwiami świętego Andrzeja, jest nasza wierność temu miejscu, w którym przyszliśmy na świat, nasza wierność mowie i dziedzictwu dziejów, nasza wierność ojczyźnie w jej wielkich i małych sprawach. Patrząc na los Andrzeja Boboli można powiedzieć, że tam, gdzie być może wielu ma prawo odejść, chrześcijanin ma obowiązek pozostać, ma obowiązek trwać. Nie tylko trwać, ale ocalać, ratować, bronić, przede wszystkim zaś wbrew wszystkiemu głosić, że tu, w tym miejscu dzieją się sprawy godne człowieka.

Dla chrześcijanin a bowiem, nie ma czasu złego, pustego, jałowego, jak również nie ma złego miejsca. Nie istnieje przecież taki czas i takie miejsce, w którym nie można kochać. Bo przecież: „Miłość polega na obopólnym udzielaniu siebie, a mianowicie na tym, aby miłujący dawał i udzielał umiłowanemu tego, co sam posiada, albo coś z tego, co jest

w jego posiadaniu lub w jego mocy; i znów wzajemnie żeby umiłowany (udzielał) miłującemu. I tak gdy jeden ma wiedzę, żeby się nią dzielił z tym, co jej nie ma: i podobnie jeśli ma zaszczyty, bogactwa, itd., aby jeden drugiemu wzajemnie udzielał.” (CD 231)

Kiedy zatem przychodzi nam myśleć i mówić o emigracji z kraju, o beznadziejności wszelkich naszych poczynań, o nieustannym braku warunków godziwego życia, o krzywdach, o ubóstwie materialnym i kulturalnym i o wielu innych biedach, naszych polskich biedach, kiedy przychodzi nam o tym wszystkim myśleć i mówić, nie wolno wtedy zapominać o przesłaniu wciąż możliwym do odczytania z relikwii świętego Andrzeja Boboli. Przybył święty Andrzej do naszego kraju w przeddzień wojny, jakby po to, by stać się znakiem nadziei. On zapomniany, jeden z wielu, po przejściu wszystkiego złego, jakie może spotkać człowieka, powraca jako zwycięzca. Skoro zatem i nas przyszedł czas, w którym ciężko żyć, to tym bardziej trzeba szukać życia właśnie tu, gdzie się żyje, nie zaś gdzie indziej. Nie gdzie indziej, choć ma się do tego prawo.

Dzielić się wiedzą, zaszczytami, bogactwem – radził święty Ignacy z Loyoli świętemu Andrzejowi Boboli i nam również radzi to samo. Trzeba więc najpierw odkryć, że jesteśmy bogaci, chociażby tylko dlatego, że możemy odmówić przyłożenia ręki do pomnażania zła, dlatego, że możemy nie zgadzać się na zakłamanie. Bowiem ocalić prawdę, to ofiarować wielki dar tym, którzy już stoją w drzwiach, już przychodzą, aby po nas przejąć życie. I nie chodzi zaraz o sprawy wielkie, ale o to, by pozostać wiernym względem tych, którzy nam zaufali, czy może aż nas pokochali. Chodzi o zwykłe sprawy, o sprawy, na których bieg mamy wpływ, które od nas zależą. O żadnym więc czasie i miejscu chrześcijanin nie może powiedzieć, że jest to czas i miejsce puste, jałowe, beznadziejne, złe, nie może powiedzieć dlatego, że „Miłość winno się zakładać więcej na czynach niż na słowach” (CD 230).

Patrząc zatem na nasze dni, na nasz czas mając w pamięci relikwie świętego Andrzeja Boboli, męczennika, można jaśniej dostrzec wartość danego nam czasu i z całą pewnością piękno, jak zawsze trudne.